

Szkoła przetrwania

Obóz internowania w Potulicach należał do tych z najsurowszym rygiorem. Osadzonym tam mężczyznom udało się przetrwać dzięki niespotykanej dyscyplinie wewnętrznej – mówią **prof. Wojciech Polak** i **dr Sylwia Galij-Skarbińska**, autorzy książki „*Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi*”.
Obóz internowania w Potulicach 1981–1982, w rozmowie z Karoliną Wichowską

Obóz w Potulicach to typowy przykład ośrodka internowania czy przypadek szczególny?

Wojciech Polak: Przykład typowy w tym sensie, że bardzo często w stanie wojennym urządzano obozy internowania w więzieniach: wydzielano jeden blok dla internowanych, a zwykłych więźniów przenoszono do pozostałych. Były oczywiście szczególne obozy, jak ten w Głębokiem dla dygnitarzy, w Jaworzu dla intelektualistów czy w Gołdapi dla kobiet. W Potulicach był typowy obóz umieszczony w więzieniu.

Sylwia Galij-Skarbińska: Trzeba jednak zaznaczyć, że rygor w Potulicach był wyjątkowo surowy. Później, w marcu 1982 roku, kiedy internowanych z tego obozu przewieziono do Strzebielinka, mężczyźni od początku tam osadzeni oceniali, że widać różnicę między nimi a potuliczanie.

prof. Wojciech Polak (ur. 1962) – kierownik Katedry Konfliktów Politycznych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, wykładowca Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu; specjalizuje się m.in. w historii stosunków polsko-rosyjskich, dziejach ruchów niezależnych w PRL i historii stanu wojennego w Polsce; autor wielu książek, artykułów i wydawnictw źródłowych; konsultant wystawy stałej Europejskiego Centrum Solidarności



Fot. ze zbiorów Stanisława Wiśniewskiego

▶ Żartobliwy „glejt” sporządzony przez internowanych, wystawiony dla Stanisława Wiśniewskiego

dzy nimi a potuliczanie. Ci drudzy wyróżniali się umiejętnością narzucenia sobie wewnętrznej dyscypliny. Musieli więc być przetrzymywani w rygorystycznych warunkach, z którymi sobie poradzili.

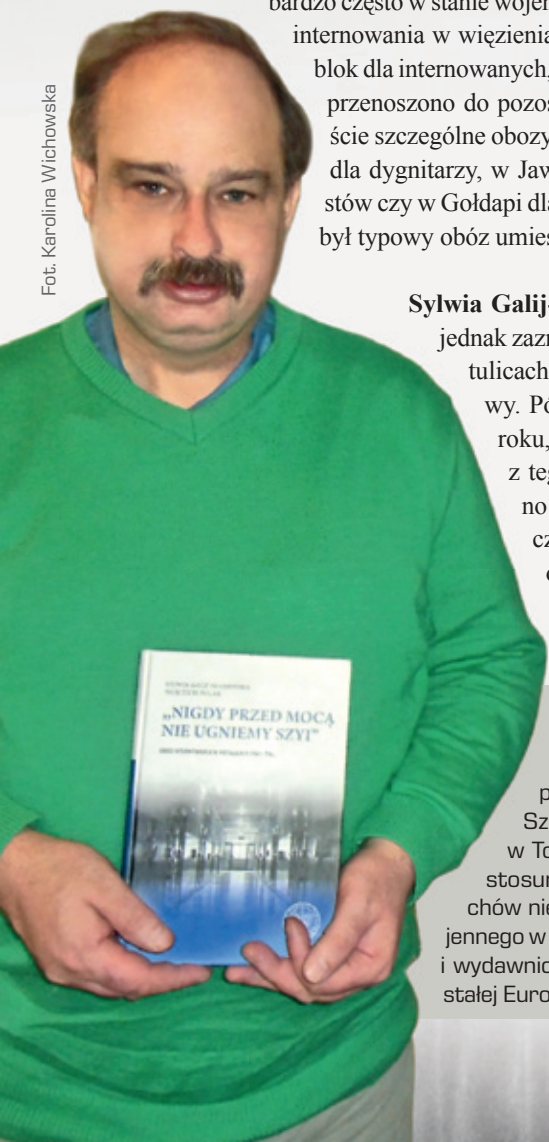
W.P.: W Strzebielinku rygor był znacznie łagodniejszy, obóz miał charakter półotwarty, bo to był zakład dla więźniów budowniczych elektrowni atomowej w Żarnowcu. Przylegał do niego obszerny teren, po którym internowani mogli się swobodnie poruszać. Gdańszczanie tam internowani byli zdeintegrowani, kłócili się o najdrobniejsze rzeczy. Tymczasem przyjechali do nich torunianie i bydgoszczanie. Mieli przywódcę – Antoniego Stawikowskiego, którego wszyscy słuchali. Ci z Gdańska patrzyli na to z osłupieniem.

S.G.-S.: Gdyby internowani w Potulicach nie mieli w sobie tej wewnętrznej dyscypliny, niejednen musiałby się załamać.

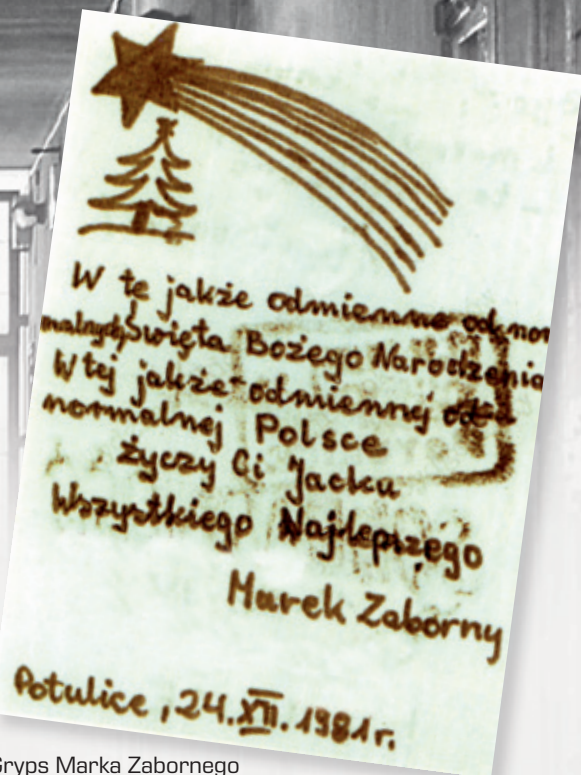
Niektórzy zresztą wpadali w stany przygnębienia.

S.G.-S.: Oni to nazywali chorobą polarną, czyli rozstrojem nerwowym wynikającym z przebywania przez dłuższy czas w ograniczonej przestrzeni wciąż w tym samym towarzystwie.

W.P.: Ogólnie jednak potuliczanie się trzymali. Stawikowski, jako najwyższy rangą przedstawiciel Solidarności, członek Komisji Krajowej, stał się liderem grupy internowanych, co wytworzyło dyscyplinę. Rzecz ciekawa: jest człowiekiem niewierzącym, ale to on wydawał rano i wieczorem komendę: „Do pacierza!”, obok komendy „Do hymnu!”. Oprócz *Mazurka Dą-*



Fot. AIPN



► Gryps Marka Zabornego
z życzeniami dla Jacka Stankiewicza

browskiego śpiewano pieśń *Kiedy ranne wstają zorze*, a wieczorem *Wszystkie nasze dzienne sprawy*. Administracja i strażnicy więzienni początkowo niespecjalnie respektowali jego przywództwo, ale z czasem zrozumieli, że nie ma wyjścia. Ich filozofia postępowania była zresztą dość ciekawa. Postawmy się na chwilę w sytuacji naczelnika więzienia: miał internowanych utrzymywać w ryzach. Gdyby zdecydował się na ostry konflikt, to wieści o tym konflikcie doszłyby do zwierzchników, a to by wcale nie było dla niego korzystne. Dlatego komendanci więzień dochodzili z czasem do wniosku, że opłaca im się dogadywać z internowanymi, w tym przypadku uznać Stawikowskiego za lidera. To było z korzyścią dla obu stron, bo dzięki temu z czasem rygory więzienne łagodniały.

A było o co walczyć, bo właściwie dla wszystkich internowanych warunki więzienne okazały się szokiem. Przez pierwszych osiem dni nie pozwalano im się nawet wykąpać!

W.P.: To wynikało najprawdopodobniej z bałaganu. Internowanie odbyło się naprędce, zwykłych więźniów przenoszono do innych cel w ostatniej chwili. Internowani, kiedy przyszli do cel, zastali ślady poprzedników, np. brudne naczynia.

S.G.-S.: Kiedy już umożliwiono im kąpiel, strażnicy zaganiali do łaźni po trzydziestu, czterdziestu mężczyzn na raz. Przy jednym sitku myło się po trzech, czterech jednocześnie. Strażnicy ich poganiali, a nawet robili sobie zarty, nastawiając bez uprzedzenia lodowatą wodę. Jeden z internowa-

nych był niepełnosprawny ruchowo. Wiadomo, że ktoś taki nie ma szans uciec spod ustawionego nagle lodowatego strumienia.

Mimo to internowani nie odpłacali im pięknym za nadobne, wręcz przeciwnie. Według relacji, które Państwo przytaczają w książce, potuliczanie wobec przeznaczonych służby więziennej i esbeków zachowywali się w sposób nieprzejednany, ostry, a wobec szeregowych strażników prezentowali przesadną wręcz uprzejmość i delikatność.

S.G.-S.: Tak, to był ich sposób na życie. Szeregowi strażnicy byli najbliżej i ważne było, żeby potrafiли przymknąć oko na takie sprawy, jak np. to, że internowani robią sobie z żyletek grzałki do herbaty albo specjalne przedłużacze, dzięki którym mogli zapalić w celach światło po 21.00, kiedy było centralnie gaszone. Warto pamiętać, że początkowo strażnicy uważali internowanych za bandytów, wręcz morderców, bo tak im mówiono na szkoleniach. A co zobaczyli w rzeczywistości? Grupę spokojnych mężczyzn, w dodatku kulturalnych. Już samo to zderzenie z rzeczywistością zmieniło spojrzenie strażników na to, kogo mają pilnować, i wpłynęło na ich postawę. Trzeba jednak pamiętać, że w obozie często się zdarzały wizyty Służby Bezpieczeństwa. Wówczas strażnicy traktowali internowanych rygorystycznie. I jedni, i drudzy byli bowiem pod obserwacją SB. Tak więc sprawa relacji internowanych ze strażnikami jest bardzo złożona. Jeśli strażnicy chcieli utrudnić internowanym życie, przeprowadzali w celach przeszukania, czyli tzw. kipsisze – najczęściej w czasie kąpieli. Wiadomo: dla osoby odseparowanej od świata zewnętrznego każdy drobiazg zabrany z domu jest cenny. A w czasie kipsiszu zabierano wszystko, czego nie zdołano zabrać na wstępie. Ludzką twarz strażników najwyraźniej było widać w czasie świąt Bożego Narodzenia.

W.P.: Wtedy już, po kilkunastu dniach od internowania, udało się internowanym wywalczyć możliwość udziału w nabożeństwach. W Wigilię przyszedł ksiądz z miejsc-

dr Sylwia Galij-Skarbińska (ur. 1978)

– politolog, adiunkt w Katedrze Konfliktów Politycznych na Wydziale Politologii i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu; zajmuje się najnowszą historią Polski; autorka m.in. monografii dotyczącej esbeckiej inwigilacji UMK w latach siedemdziesiątych; szczególnie interesuje się historią bezpieczeństwa wewnętrznego w okresie PRL i po roku 1990

Fot. Karolina Wichowska

wej parafii, odprawił na korytarzu więziennym pasterkę, w czasie której śpiewali internowani działacze Solidarności Rolniczej, potem śpiewano koledy. Następnie Stawikowski wszedł na stół, wygłosił przemówienie i złożył wszystkim życzenia. Udało się nawet przemycić opłatek, którym internowani podzielili się między sobą, a nawet podeszli z nim do strażników.

...za których modlitwę zainicjował ksiądz odprawiający pasterkę. Życie religijne w ogóle odgrywało ważną rolę w codzienności internowanych, w książce poświęcili mu Państwo osobny rozdział.

S.G.-S.: Modlitwa pozwalała im przetrwać. Pamiętajmy, że ci mężczyźni zostali zatrzymani w brutalny sposób, często wyrwani z łóżek. Spodziewali się, że w odosobnieniu spędzą kilka lat, a nie – jak się potem okazało – kilka miesięcy. Nie wiedzieli, dokąd ich wiozą, liczyli się z tym, że trafią do Związku Sowieckiego, a nawet – że zostaną zabici. Tuż przed świętami wyrwano ich z domów, oddzielono od rodzin. Dzięki wspólnej modlitwie łatwiej im było się zjednoczyć i wzajemnie wspierać, bez tego mogliby się załamać. Determinacja, z którą walczyli o możliwość uczestniczenia w nabożeństwach, zasługiwała na odrębny rozdział.

W.P.: Msza była stałym punktem w rokowaniach internowanych ze strażą więzienną. Wywalczone, że będzie odprawiana co tydzień. Do Potulic przyjeżdżał ks. Józef Kutermak, kapelan więzienny z Bydgoszczy, człowiek wielkiego formatu. Oprócz tego, że odprawiał msze, przemyczał też grypsy. Jedyne zdjęcia internowanych w Potulicach zostały wykonane aparatem, który przywiózł ks. Kutermak. Do obozu docierali też biskupi, przede wszystkim Marian Przykucki, biskup ordynariusz chełmiński. Chodził od celi do celi, zgodnie z więziennym zwyczajem pił z internowanymi herbatę ze słoika. Chcieli mu dawać grypsy, ale on obiecał naczelnikowi więzienia, że nie będzie ich przemyczał. Powiedział jednak tak: „Słuchajcie, obiecałem, że nie wezmę grypsów ani podarków dla rodzin. Ale ze mną są dwaj kapłani, którzy niczego nie obiecywali”. Księża rozchylili sutanny i się okazało, że pod spodem mieli naszyte ogromne kieszenie, w których mogło się zmieścić mnóstwo rzeczy. Dzięki takiej postawie duchownych internowani mieli poczucie, że Kościół jest z nimi i ich wspiera.

Oprócz modlitwy internowanym pomagały przetrwać lektury, bo wywalczyli dostęp do biblioteki więziennej, a następnie dyskutowali o tych lekturach. Ponadto próbowali walczyć

z reżimem, stosując metody prawne. Na przykład Jacek Stankiewicz i wielu innych domagali się doręczenia nakazu internowania na piśmie.

S.G.-S.: Mogli sobie pozwolić na takie działania, bo wśród internowanych byli przecież prawnicy, którzy pozostałym służyli swoją wiedzą. Zachowały się nawet szablony pism z wnioskami i skargami, które rozsyłano po celach i wystarczyło do nich wpisać imię i nazwisko. Skarżyli się nie tylko na niedoręczenie nakazu internowania, lecz także np. na to, że listy nie docierały do rodzin.

Doszli wręcz do wniosku, że to, jak są traktowani, nie spełnia nawet standardów przewidzianych w konwencji genewskiej mówiącej o jeńcach wojennych.

S.G.-S.: Taka analiza jest zapisana w dzienniku Jacka Stankiewicza. Powstała podczas dyskusji w ramach wykładów prowadzonych przez niego i Stanisława Wajsgerbera. Wykłady były jednym ze sposobów na walkę z bezczynnością. Oprócz tego internowani słuchali radia państwowego (mieli w celach kolchoźniki) lub Wolnej Europy (Krystyna Antowska-Śmigiel, żona Stanisława Śmigla, przemyciła radio, dzięki czemu mieli własny nasłuch), od pewnego momentu dostawali

do celi reżimową prasę. Z porównania sytuacji internowanych i jeńców wojennych przewidzianej w konwencji rzeczywiście wynikało, że ci ostatni mieli znacznie lepiej, m.in. jeśli chodzi o dostęp do usług religijnych czy opieki medycznej.

We wspomnieniach rzeczywiście lekarze więzienni nie są najlepiej oceniani – nie przejmowali się zbyt dolegliwościami internowanych, nie okazywali chęci pomocy. Wyjątkiem była dentystka, Janina Sokala.

W.P.: Oprócz tego, że rzetelnie leczyła internowanych, dodatkowo wносиła im grypsy. Wzywała kogoś do gabinetu pod pretekstem badania i zabierała gryps. Kiedy przynosiła odpowiedź, wzywała pacjenta ponownie, co nie budziło podejrzeń, bo przecież leczenie zębów często wymaga powtarzania wizyt. Jej syn, Andrzej Sokala, wówczas asystent na Wydziale Prawa, a dziś profesor i prorektor UMK, woził te grypsy do Torunia, a stamtąd odpowiedzi do Potulic.

W książce w bardzo dużej części oddają Państwo głos samym internowanym, cytując fragmenty ich pamiętników, listów czy pojedynczych notatek. Czy oprócz tego rozmawiali Państwo z bohaterami publikacji?



Fot. ze zbiorów Krzysztofa Osińskiego

► Ksiądz Józef Kutermak przed mszą świętą w obozie w Potulicach

► Dawny Pawilon VII Zakładu Karnego w Potulicach

Fot. ze zbiorów Wojciecha Polaka



S.G.-S.: Tak, i na ogół bez problemu zgadzali się na spotkania. Jednak niektórzy nie chcieli się umówić na rozmowę, tłumacząc, że każde wspomnienie związane z obozem jest wciąż zbyt bolesne. Rozumiem to. U tych, którzy zdecydowali się ze mną spotkać, często się pojawiały łzy i wzruszenie. Bo chociaż jakos potrafili się urządzić w tym więzieniu, to przecież nie były to naturalne warunki.

A która historia – z tych opowiadanych na żywo – szczególnie zapadła Państwu w pamięć?

W.P.: Nie tyle konkretna historia, ile całokształt postawy Antoniego Stawikowskiego. U niego widać było to poczucie odpowiedzialności za całą grupę. Zdawał sobie sprawę z tego, że od jego decyzji będą zależeć rozmowy ze strażą czy rozwój akcji protestacyjnych, które podejmowali internowani. Widać było, że ten bagaż odpowiedzialności go przytłaczał, a on musiał sobie z nim dać radę. Niekiedy przychodziło mu tłumić zbyt radykalne zachowania. Pewnego razu, po tygodniowej głodówce, jeden z internowanych przekonywał go, żeby w dalszym ciągu odmawiać jedzenia. Stawikowski odpowiedział na to dość ostro, bo kontynuowanie głodówki mogłoby poskutkować trwałym uszczerbkiem na zdrowiu.

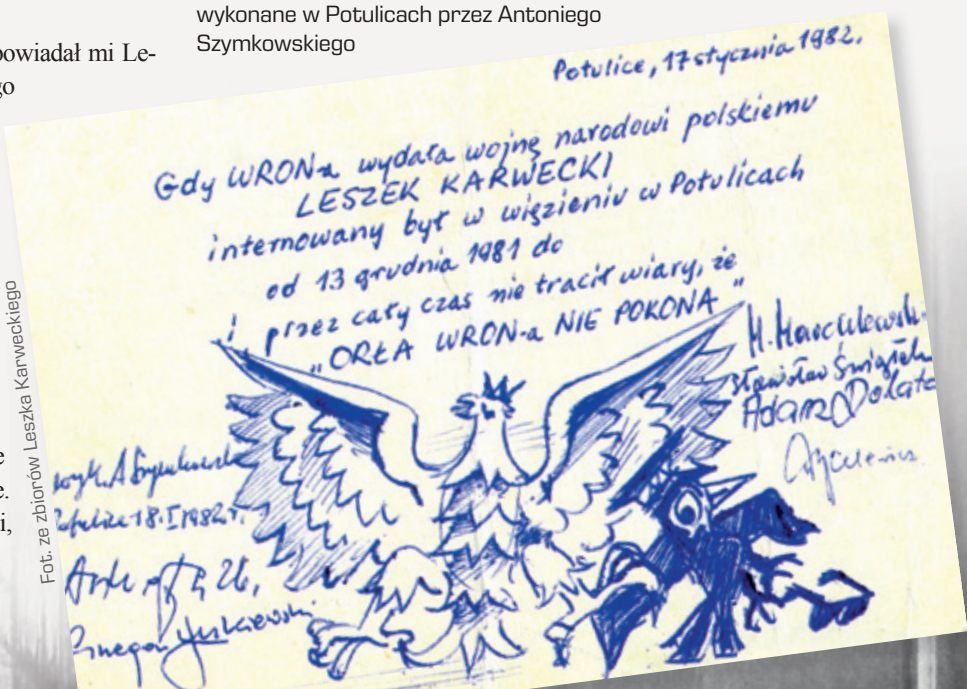
S.G.-S.: Szczególnie zapamiętałam to, co opowiadał mi Leszek Karwecki. Władze więzienne zwodziły go w sprawie spotkania z rodziną. Pamiętam, że kwestia wizyt na początku nie była w ogóle uregulowana. Rodziny nie wiedziały nawet, gdzie przebywają ich bliscy, czasem nawet wprowadzano je w błąd. Kiedy w końcu umożliwiono spotkania, bywało, że władze więzienia odmawiały pozwolenia na widzenie w ostatniej chwili, kiedy ktoś z rodziny już czekał przed bramą. Żonę i dziecko Leszka Karweckiego dwukrotnie, bez żadnej przyczyny, zawrócono sprzed sali widzeń. On wiedział, że przybyli, ale władze więzienia nie pozwoliły mu na spotkanie. To nawet teraz wywołuje u niego wzruszenie i, szczerze mówiąc, u mnie też wywołało.

Granie na czyichś uczuciach rodzinnych i obawie o najbliższych to często stosowana metoda zmierzająca do złamania człowieka. Opisują Państwo historię jednego z internowanych, który pod koniec pobytu został w zasadzie zmuszony do podpisania lojalki – żona była w ciąży, a ojciec zmarł na raka. Podpisał, żeby móc pojechać na pogrzeb.

S.G.-S.: I w takiej sytuacji trudno się dziwić tej decyzji.

W.P.: Trzeba też pamiętać o tym, że lojalka, wbrew temu, co czasem się słyszy w mediach, nie jest tym samym, co zobowiązanie do współpracy z SB. Treść lojalki najczęściej głosiła, że sygnatariusz zobowiązuje się do przestrzegania prawa PRL. Internowani w czasie rozmów z esbekami często nie godzili się na podpisanie podszywanych im treści, ale proponowali, że sami napiszą deklarację, na co esbecy przystawali, wychodząc z założenia, że podpisanie czegośkolwiek zawsze przyniesie jakiś efekt psychologiczny. Większość ostatecznie coś podpisała, a tłumaczyli to sobie w ten sposób: „Nie będę łamał prawa obowiązującego w PRL, ►

► Pamiątkowe „zaświadczenie” dla Leszka Karweckiego wykonane w Potulicach przez Antoniego Szymkowskiego



Fot. ze zbiorów Leszka Karweckiego

a więc również konstytucji. A tam jest napisane, że mamy wolność słowa, wyznania, poglądów, zrzeszania się itd. Ja to prawo respektowałem i będę respektował. Jeśli ktoś je łamie, to esbecy”.

O ile z samymi strażnikami można było próbować się dogadać i wywalczyć u nich życzliwość czy przynajmniej obojętność, o tyle w przypadku funkcjonariuszy SB nie było na to szans. Ci byli wredni, złośliwi i – jak sami to określali – dążyli do zmiany postawy internowanych, czyli próbowali ich złamać. Niektórym się wydawało, że jeśli na kimsz wymuszają podpisanie deklaracji lojalności, to ta osoba już jest kupiona. A to oczywiście w ten sposób nie działało – wielu ludzi podpisywało deklarację lojalności, w której była mowa o przestrzeganiu prawa PRL, nie rezygnując jednocześnie z działalności opozycyjnej. Antoni Stawikowski wspominał, że wszystkim radził, żeby w razie wezwania na rozmowę z esbekiem – milczeli. Wszyscy przyznawali mu rację. Po czym byli wzywani, wracali, a Stawikowski pytał, jak było. Przyznawali, że jednak podjęli rozmowę. Dlaczego?

„Bo głupio milczeć, jak ktoś do ciebie mówi” – odpowiadali. Stawikowski stwierdził, że koledzy najwyraźniej byli za dobrze wychowani i dlatego nie dawali sobie rady w takich sytuacjach. On sam milczał, wytrzymywał. Jeszcze inny sposób na esbeków znalazł Antoni Szymkowski, zmarły w 2013 roku historyk sztuki, bohater 1956 roku, dla Torunia postać legenda. Kiedy funkcjonariusz zadawał

mu jakieś pytanie, on odpowiadał w tym stylu: „Bracie, czy wiesz, że za to, co czynisz, czeka cię wieczne potępienie?”. Kiedy esbek kilka razy z rzędu usłyszał tego typu odpowiedź, miał dosyć, uznał, że ma do czynienia z kimś nawiedzonym. Zresztą, kto wie, może też ruszało go sumienie? O formacie Antoniego Szymkowskiego niech świadczy jedna anegdota. W lutym 2008 roku pojechałem do Belwederu odebrać profesurę. Był ze mną Wiesław Skrzypczyński, który w Strzebielinku siedział w jednej celi z Lechem Kaczyńskim. Zaczepił prezydenta: „Słuchaj, Lechu, Antek Szymkowski leży po wylewie, a nie dostał jeszcze żadnego odznaczenia”. Prezydent tak się tym przejął, że w ciągu dwóch tygodni dwoje pracowników kancelarii prezydenta: minister Jacek Sasin i dyrektor Barbara Mamińska (zginęła w Smoleńsku w 2010 roku) pojechało do ośrodka opiekuńczego, w którym przebywał Szymkowski, i udekorowało go Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Była to bardzo podniosła uroczystość z udziałem najwyższych władz Torunia i województwa kujawsko-pomorskiego.

Czy w Potulicach zdarzały się przypadki zwerbowania?

W.P.: Były, pojedyncze.

S.G.-S.: W Potulicach internowano też osoby, które już wcześniej, przed stanem wojennym, współpracowały z SB. Jeden z najaktywniejszych donosił już od paru lat. Z obozu wyszedł jeszcze w grudniu, ale w ciągu tych kilkunastu dni zdążył dostarczyć duży donos o nastrojach panujących w celi.

Pan profesor wspominał o głodówce, którą internowani podjęli w ramach protestu. Można gorzko żałować, że trudno im się dziwić, skoro dostawali tak paśkudne dania, jak np. kasza z surową krwią zwierzęcą.

S.G.-S.: W dodatku krew dolewano do kaszy w ich obecności – jeden strażnik wlewał, a drugi mieszał. Inną tego typu potrawą był gulasz, który – jak to określił Stefan Pastuszewski, jeden z internowanych – wyglądał, jakby granat rozewał kawałek świniaka. Jan Wyrowiński notował, że znowu podano gulasz ze świńskim okiem. Bo faktycznie w miskach

plywały oczy zwierząt, czasami znajdowano ucho ze szczecina. Jacek Stankiewicz pisał o kawie z bromem, typowym napoju więziennym. Z czasem jednak zaczęły dochodzić paczki od rodzin, chociaż w wielu tych domach wcale się nie przelewało. Na szczęście była też pomoc Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i Kościoła.

W.P.: Z czasem potuliczanie mogli przygotowywać posiłki z darów. Dochodziło wręcz do takich paradoksów, że kiedy rodziny przychodziły na widzenia,

to oni częstowali bliskich tym, co dostawali do cel. Oddawali szynkę w puszkach, salami przyniesione przez bp. Przykuckiego, które rozwieszali na więziennych kratkach, albo proszek do prania, który dostawali w zagranicznych paczkach, a w warunkach więziennych nie mieli jak go wykorzystać. Sam pamiętam, że kiedy organizowano zbiórki pomocy dla potuliczian, zgłaszało się tylu chętnych, iż w końcu ich rodziny mówiły, że już wystarczy – tyle przynoszono jedzenia. Z więzienia wypływały nie tylko grypsy, lecz także robione przez internowanych znaczki pocztowe, które krążyły po Toruniu. Rodziny opowiadały mi też o przemycaniu alkoholu do obozu. To była wyższa szkoła jazdy. W sprzedaży były wtedy gęste szampony o intensywnej barwie, w dużej, plastikowej butelce z dość szeroką szyjką. Spirytus wlewano do woreczka foliowego, zgrzewano i wkładano do butelki, z której wylano część szamponu.

S.G.-S.: Internowani mogli też kupować różne rzeczy, np. pastę do zębów, w kantynie więziennej. W listach do rodzin żartowali, że na wolności musieliby stać po takie rzeczy w kolejce i w dodatku kupować je na kartki. ■



Fot. AIPN